N^ER 35.

W PIĄTEK

Dnia 8 Listopada 1833 roku.

ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉJ.

BIAŁY WŁOS.
(Ciąg dalszy.)

Po okropnéj klęsce pod *Nikopolem*, *Guy d'Albrot*, trzymany przez czas niejaki w dwornem więzieniu swego wspaniałomyślnego zwycięzcy, znalazł środek okupu, i, uwolniwszy się, przebiegał Wschód, szukając skarbników umiejętności, która go tym bardziéj zażegała, im bliżéj widział siębydź celu upragnionego. Nawet napotkał był w samotnéj okolicy *Jémenu* rodzinę Arabską, któréj członkowie znali jéj tajemnicę i z niéj korzystali. U nich dziadowie i wnuki zdawali się bydź bracią; lecz do wyjawienia swéj tajemnicy, nadto wielką przywiązywali cenę. *Guy* chciał jéj sam dociec, a wielokrotne próby obiecywały mu skutek. »Jeszcze jeden dzień,« mówił sam do siebie, »tylko jeden dzień! a nie będę się starzał; chociaż pierwsze promienie nic mi nie odkryły, naprowadziły mię jednak na drogę; mamże się cofnąć teraz, kiedy idzie tylko o to, aby na drodze znalezionéj daléj postępować?« Szedł więc daléj, od próby do próby, od jednego doświadczenia do drugiego; tymczasem upłynęła mu jego młodość, upłynął wiek dojrzały. Nie gonił już więc teraz za tajemnicą pozostania młodym, lecz, jakby się nie starzeć. Z tém wszystkiem *Guy d'Albrot*, podobnie jak górnik, który, szukając miedzi, odkryje żyłę złota, znalazł skarb droższy nad ten, jakiego szukał: prawdziwą umiejętność, korzystniejszą od bezowocnéj piękności i długoletności, któréjby później, wierzaj mi, bez wątpienia sam był żałował. Lecz czyliż zawsze na dobre używał téj obszernéj umiejętności, któraby go była nad wszystkich współczesnych wyniosła, owéj niezmiernéj, lecz niebezpiecznéj potęgi, jaką nadaje sztuka czarnoxiężka swoim zwolennikom, sam osądzisz.

Powróciwszy do Normandyi *Guy d'Albrot* przebiegał wzdłuż i szersz *Rouen*, gdzie, jakeśmy słyszeli, na czas krótki uwięziony był pod strażą Andrzeja *de Mauny*. Chciał zwiedzieć okolice, które były świadkami jego młodości i piękności. Mniemał, że młodość i piękność wrócą mu się w kraju, gdzie się zawiązały i kwitnęły.

Dobra po ojcu jego przypadły koronie Francyi, która podług woli mogła niemi rozrządzać. Największa ich część była podówczas w posiadaniu wdowy po możnym rycerzu wysokiego urodzenia. Nieprawy potomek szlachetnego Pana *d'Oudales* nawet słabo nie marzył sobie o ich odzsykaniu i nie potrzebował o tém myśleć, ponieważ z krajów wschodnich wielkie z sobą przywiózł bogactwa. Jeszcze raz pobłąkać się po wzgórzach i dolinach po nad *Sekwaną*, jeszcze kilka chwil pomarzyć na pagórkach *St. Vigor* i *Gonfreville*, było całą jego myślą.

Gdy jednego dnia tam się błąkał, ujrzał grono młodych kobiet w odzieniu żałobném. Idąca na ich czele, miała przed obliczem czarną długą zasłonę, po któréj sądził, że to musi bydź wdowa po ostatnim panu zamku *Oudales*, a reszta, kobiety jéj dworu. Zaczaił się za krzakiem, aby, niepostrzeżony, przypatrzyć się przechodzącym, zapewne z nałogu lękliwości przed płcią białą, nabytego na Wschodzie; lecz kobiety właśnie w tém miejscu pousiadały, tuż przy owym krzaku, aby wypocząć, i dla rozrywki z sobą rozmawiały. Miał czas przypatrywać się pięknéj twarzy i nasłuchać się dowcipnéj i grzecznéj rozmowy pani zamku. Lecz wszystko to, niestety! nie

na dobre mu wyszło, owszem nie małéj nabawiło go konfuzyi; albowiem ani sześćdziesiąty krzyżyk, ani sztuka czarnoxięzka nie potrafiły uchronić go od szalonéj i zaciekłéj namiętności. Zakochał się jak młodzian dwudziestoletni, głowy zapalonéj i krwi wrzącéj. Była to pierwsza jego miłość! ale jaka miłość! szalona, opętana.

Zdaje mi się, żem WPanu powiedział, że starość jego w niczém nie była podobna starości ludzi zwyczajnych. W rzeczy saméj, bądź, że doświadczenia jego, zapewnienia sobie ciągłéj młodości, zaczęły się były udawać, bądź, że proste, skromne i pracowite życie uchroniło go od pospolitych namiętności; twarz jego mniéj była od zmarszczek poorana, jak się po wieku jego potrzeba było spodziewać. W piersi starca biło serce młodzieńcze, pod włosem osiwiałym bujała wyobraźność młodzieńcza. Podług panującego powszechnie prawie w owym wieku zwyczaju we Francyi, wdowa po lenniku powinna była po skończonéj żałobie pójść znowu za mąż, pod karą przypadnienia lenności koronie. *Guy d'Albrot* zamyślił wnijść tą drogą w posiadanie lenności ojcowskich. Chcąc się podobać i spróbować szczęścia konkurenta, zrzucił turecki kaftan i ubrał się u najmodniejszego krawca; nosił czamary z sukna najcieńszego, bramowane jedwabnemi taśmami, na piersi, za pomocą waty, wysklepione i związane dwoma grubemi jedwabnemi sznurami, o sutych kutasach, zadziergnionych u boku lewego, gdzie się zwykle nosi szpadę lub pałasz, albo na plecach, gdzie żołnierz nosi tornistrę, w węzeł nader zgrabny; o rękawach, podszytych atłasem, podbitych futrem, na wyloty, wiszących, z koronkami i bez koronek, zgoła w trzydzieści i sześć rodzajów, jak wtenczas mówiono; spodnie, choć nie tak długie, jak kozackie, bo tylko po kolana, ale szersze od kozackich, od bioder po kolana lamowane wstążkami różnego koloru, zawiązywał na oczkurek ze wstążek; niestety w owym wieku ciemnoty nie znane były pantalony, mogące w sobie, jak biesiagi, pomieścić parę korcy zboża, a wiszące na szelkach; czapeczkę z futerkiem z kun Syberyjskich z kitką. Stroił się, muskał się, oblewał się pachnidłami, ubiegał się za modą najnowszą i, z większym, niż dawniéj zapałem, za środkiem odmłodnienia. Lecz z krajów wschodnich wrócił z siwizną na głowie i na bujnéj brodzie. Kunszt fryzyerski utrefił mu, jak najzgrabniéj, włosy na głowie w czuprynę czerkieską, a bujne wąsy i bujniejszą jeszcze brodę w wąsik podbródek i faworyty Hiszpańskie, od żydów Hiszpańskich tak nazwane, lecz na siwiznę potrzeba było szukać sposobu. Niestety! peruk wtenczas jeszcze nie znano, które dopiero z końcem panowania następnego były wynalezione; po długich więc i kabalistycznych badaniach w sztuce tajemniczéj i xięgach magicznych nie znalazł innego sposobu, jak pokryć siwiznę proszkiem koloru *blond*, będącym w wielkiéj u ludzi przeszłego wieku wziętości, a który młódzi obudwu dworów panowie znowu starali się wprowadzić w modę.

Nareszcie w takim ubiorze zaprezentował się. Pani zamku najprzód podobała sobie w jego nauczającéj i tyle urozmaiconéj rozmowie i lubiła go w posiedzeniu.— Wszakże on tyle wiedział, tyle widział!— Potém dziwiła się pięknym rysom i szlachetnym wyrazom jego oblicza, które się jéj tylko od słońca wschodniego i znojów podróży zdawały zmienione. Nie uważając go za młodzieńca, nie zgadywała wszakże prawdziwego wieku jego. Ach! w oczach jego tak ognista błyszczała miłość. Powinnaż była dla jednego lat tuzina, o które miała go za starszego od siebie, wzgardzić hołdem człowieka bogatego, grzecznego i hojnie uposażonego rozlicznemi nabytemi umiejętnościami? człowieka, który swe skarby i swoję umiejętność obraca tylko na ulgę i pociechę wszystkich, którzy się doń zbliżają? Albowiem *Guy d'Albrot* był dobry i dobroczynny, a co większa, pierwsza dama dworu pięknéj wdowy zwróciła jéj uwagę, że miał rączki małe i bardzo białe. Wreszcie nie wiem, czyli jakie czarodziejskie danie wywarło moc swoję, krótko, że pani zdawała się bydź bardzo skłonna, dla mniemanego blondyna schować żałobę do skrzyń, gdy nagle nieprzyjemna zaszła przygoda.

Normanowie zaczęli nakoniec przykrzyć sobie jarzmo Anglików, do którego nie mogli przywyknąć. Wzmocniono zało-

gi; wojska stanęły po nad brzegami *Sekwany* w ustępach. Pan *Mauny* stanął blizko zamku *St. Vigor.* Słysząc o piękności wdowy Hrabiny *d'Oudales*, przypomniał sobie, że znał zmarłego jéj małżonka, i sądził, że grzeczność wymaga po nim, aby zrobił wizytę w zamku. Zastał tam szczęśliwą parę sam na sam w wielkim gabinecie, obitym kobiercami i ozdobionym malowidłami emaliowanemi, wystawiającemi zdobycie Anglii przez Xiążęcia *Wilhelma*, jakie można było widzieć na sławnych dywanach w *Bayeux.* Będąc w sercu Anglikiem, przypisywał najprzód widokowi tych kobierców rodzaj dreszczu, który uczuł zbliżając się do tak pięknéj kobiety. Lecz przypatrzywszy się lepiéj bawiącemu się z nią mężczyznie, pomimo przebranie i puder, poznał w nim owego starego Turczyna, który zniknął z więzienia, i przypomniał sobie pierwsze wrażenie, jakie na nim widok tego człowieka sprawił. Mocno się zdziwił, że go tu zastał, lecz przecież przyszedł do siebie. Gdy się zmierzchło, piękna wdowa kazała przynieść światło, poczém paziowie pownosili różne chłodniki, jadła i napoje; pierwsza pani dworna i kapelan zamkowy (nie był to już *Euzebi*, który od dawna już spoczywa w grobie), przybyli pomnożyć grono towarzyskie. Rozmawiano o wojnie, o Królu Angielskim *Henryku* VI, którym się pani zamku bardzo zajmowała, bo był jeszcze dzieckiem, i o Królu francuzkim *Karolu* VII, którego pani dworna widziała nad *Ligierą*, lecz go nie polubiła, ponieważ był małego wzrostu.— Po tych rozmowach toczyły się rzeczy o miłostkach w mieście, o plotkach dziennych, nowinach brukowych i tym podobnych rzeczach.

Guy d'Albrot przypomniał sobie najprzód Kapitana strzelców z *Rouen*, i zadrżał na jego widok, lecz się uspokoił, pomyśliwszy, że go ten nie pozna. Atoli mówił mało i z cicha, nachylając się ku krzesłu pięknéj wdowy, która mu tkliwem odpowiadała wejrzeniem, wcale się z tém nie kryjąc, że mu przed innymi daje pierwszeństwo. Gdyby pani zamku mniéj nawet była piękną, Pan *de Mauny* byłby się zapewne w niéj zakochał; tego bowiem rodzaju była jego choroba, któréj się nigdy pozbyć nie mógł; lecz widząc w niéj tyle wdzięków, nie mógł znieść myśli nawet o podobnym rywalu, rozgniewał się i, prosząc o głos, oświadczył, że chce opowiedzieć szczególną awanturę o młodéj pięknéj kobiecie, która się szalenie rozkochała w starcu. Pani serdecznie śmiała się z tego oświadczenia, a jéj dworna utrzymywała, że to wcale bydź nie może. »Tak jest, moje panie,« dodał młody Kapitan; »rozkochała się nie w starzejącym się dopiero i poczynającym siwieć mężczyznie, lecz w starcu, którego czoło, pomarszczone, jak dębowa kora, pokryte jest włosami, jak jedwab miękkiemi i jak śnieg białemi.«— Nalegano nań, aby tę historyą rozpoczął, on zaś zabierał się już do opowiadania, szukając wszakże w swojéj głowie jakiego zdarzenia, któreby do obecnéj okoliczności mógł zastosować, gdy w tém wzrok jego spotkał się ze wzrokiem *Guy d'Albrota.*— Zmieszał się na chwilę, lecz w krótce ochłonąwszy, zaczął opowiadać historyą, w któréj przebijało się zdarzenie, zaszłe między strzelcami, a starym Turczynem na rynku w *Rouen.* W tém język zaczął mu się plątać, opowiadający znowu się zmieszał, ponieważ wzrok jego znowu spotkał się z przeraźliwym wzrokiem jego przeciwnika. Odwróciwszy głowę, przyspieszał opowiadanie i zaczął prawić o jednéj młodéj pięknéj wdowy, o jéj małych i bielutkich rączkach, o szyi łabędziéj, o ubiorze z turecka jakiegoś starca i tym podobne rzeczy; atoli mówiąc, na przemianę to bladł to się rumienił, i nareszcie drżeć zaczął; albowiem oczy jego mimowolnie i bez ustanku zwracały się na podstarzałego zalotnisa, i bez przerwy napotykały na wzrok jego pewny, nieruchomy, przeszywający. Lecz gdy uporczywie trwając w złém przedsięwzięciu swoiém, doszedł do punktu, gdzie miał wyśmiać, wyszydzić białe włosy starca, śmiech jego mimowolnie się wzmagał, przedłużał, aż nareszcie zamienił się w przeraźliwe konwulsyjne rzenie końskie, zamknął mu mowę i nie ustał, aż pogrążywszy go w letargu.

»Jakże zbladł!« rzekł kapelan.

»Śmiech wcale mu nie do twarzy,« powiedziała dworna, »brzydki jest, gdy wy-

szczerzy zęby.« Pani zamku nie rzekła ani słowa, lecz dała mu powąchać wody orzeźwiającéj, a gdy odzyskał przytomność, kazała go do domu odprowadzić.

Nazajutrz posłała pazia, aby się dowiedział o jego zdrowiu. Trzeciego dnia Pan *Mauny* przyszedł sam podziękować jéj; lecz nie wszedł do pokoju, póki się nie przekonał, że jest sama, a wszedłszy zaraz wynurzył się wyraźnie względem starego Turczyna. Bardzo się śmiała, lub może tylko szczery śmiech udawała, nie chcąc wierzyć, aby włosy jego były siwe. Z tém wszystkiem, gdy się młody Kapitan oddalił, wdowa zapadła w zamyślenie i niespokojność. Już wczoraj o tém myślała; albowiem, w zawiłéj historyi, opowiedzianéj przez Pana *de Mauny*, upatrywała własne jego zamiary. Postanowiła więc przekonać się jak najdokładniéj o prawdzie, w taki jednak sposób, aby się sama w niczém nie skompromitowała. Chytrość kobiety waży zapewne tyle, ile sztuka magiczna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pan *Bogusławski*, professor astronomii w *Wrocławiu*, poświęcił szczególną uwagę swoją komecie *Halleyja*, który w roku 1835 ma się okazać, i na ostatniém zgromadzeniu Niemieckich badaczów w *Wrocławiu* (jakeśmy już w Gazecie namienili), czytał o nim obszerną rozprawę, z któréj następujące przytaczamy szczegóły: Kometa ten pokaże się w końcu miesiąca Sierpnia 1835 r. na wschodniéj części widnokręgu, w znaku Byka, lecz bardzo słabo, gdy wtenczas odległość jego od ziemi wynosić jeszcze będzie przeszło 40 milionów mil Niemieckich. Ponieważ kierunek drogi jego z początku zbliżać się będzie do ziemi, zatém położenie swoje na niebie aż do środka miesiąca Września nieznacznie będzie odmieniał, lecz za to, co do massy światła, bardzo szybko będzie wzrastał. Dnia 13go Września będzie 20 milionów mil od nas oddalony i od tego czasu coraz bardziéj pyszny ogon swój rozwijał, bieg swój coraz rychléj przyspieszał i codzień wcześniéj zachodził. W drugiéj połowie Września wstąpi w znak Bliźniąt i dojdzie już 1go Października do przednich łap Wielkiego Niedźwiedzia, gdzie tylko o 6 milionów mil będzie od nas oddalony i nie będzie już zachodził. O tym czasie światło jego i pozorna wielkość dojdzie najwyższego stopnia.— Dnia 6go Października będzie najbliżéj ziemi i tylko o 3½ milionów mil od niéj oddalony. Pyszny ogon jego sięgać będzie od Włosów Bereniki aż do głównych gwiazd Wielkiego Niedźwiedzia. Głowa jego około 9téj godziny wieczór zajdzie, lecz średnia, widoczna część ogona przez całą noc ciągnąć będzie po niebie północném, aż póki i głowa z jutrzenką znowu nie wznijdzie. Odtąd pozornie coraz zbliżać się będzie do słońca, wieczorem coraz wcześniéj zachodzić, a przytém zawsze się od ziemi oddalać. Na początku r. 1836, gdzie znowu 40 milionów mil będzie od nas oddalony, wypłynie z promieni słonecznych i znowu będzie widoczny. Przytem zbliżać się będzie po raz drugi do ziemi i dnia 1go Marca 1836 tylko 25 milionów mil będzie od niéj oddalony, i rankami w znakach Kruka i Puhara widywany. Odtąd oddalać się będzie od ziemi i słońca, i dopiero za 76 lat, w roku 1912, do nas znowu zagości.

Pewien kupiec Niemiecki w *Valparaiso (w Chili)*, przyjaciel badań historycznych, odkrył, w towarzystwie nader ukształconego Duńskiego majtka, imieniem *Konus*, kilka zupełnie nieznajomych okolic Chińskich, w których dotąd może noga żadnego podróżnika Europejskiego nie postała. Mówią, że człowiek ten porobił ważne odkrycia, np: w górach Chilanu miał wynaleźć dolinę, okrytą na dużéj przestrzeni szczątkami wielkiego miasta. Ponieważ teraźniejsi Indyanie Chilidy byli zawsze koczowniczym narodem, a Inkasowie nigdy długo nad tym krajem panować nie mogli, zapewne więc owo miasto od jakiegoś cywilizowanego narodu, który dawno zaginął, wystawione i zamieszkane bydź musiało.— Wiadomo, że i w innych okolicach Ameryki znajdowano ślady wielkiéj cywilizacyi.

Dwa zegary, w jednéj osadzie umieszczone, obopólnym wpływem magicznym tak na siebie działają, że z czasem idą zupełnie jednakowo. *Berguet* doświadczeniem to sprawdził.